



ELIZA ORZESZKOWA

Kramarz

ELIZA ORZESZKOWA

Kramarz

Na szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przezroczysty, w którym wszystko przyćmionem jest, ale widzialnem. W tym powstającym zmierzchu, ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą zielenią, kwitnąca gryka mętnie białała, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak śpiczaste kolumny, sterczały nad zmaconemi linjami zabudowań małego folwarku. Na jednym skraju nieba błędziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stanęły murem, tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy. Powietrze było ciepłe i ciche. W cierniach odzywały się przepiórki; nad gryką, zwabiony jej białością, zaczerniał czasem nietoperz i zakreśliwszy w locie szybkie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywały rżenia koni i oderwane nuty pastuszej trąbki. Zresztą, zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi też nigdzie widać, ni słyhać nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka złotych światełek, migocących wśród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu szerokich, śpiących pól, jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzby pochylały swe węzłowate i dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi; owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzby na czyste pole. Tu ostatki światła słonecznych, tulające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną pod obarczającym mu plecy tłómokiem. Ubranie miał długie, bo aż do stóp sięgające, zgniecioną czapkę z podartym daszkiem, a na nogach obuwie ciężkie, wykrzywione i białe od pyłu. W ręku trzymał kij, na którym się wspierał. Szedł bardzo powoli. Od kilku tygodni panowała w tych stronach posucha, która drogę uczyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś niosąc tłómok, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwycił kurzwę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i śpieszny szemrał i chrypiał w ciszy, głuszony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesołe nuty. Raz, światło zachodu, nietrwale i blade przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białość opłatka, zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpółotwarte i oczy utkwione w ziemi.

Staął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłómoka z pleców nie zrzucił. Stał więc zgarbiony, na kiju wsparty i tylko wzrok podniósłszy, patrzył w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerywny go górą pas białej mgławicy. Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. Wyrażnie w gęstwinie jakiejś zaszumił cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zajęcia czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w niskim gnieździe ptaka. Spojrzył na pole; rośna świeżość i woń były z ładu, okrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących. Tu i owdzie, na puszystej powierzchni białały jeszcze spóźnione kwiaty, ale długie, zwikłane łodygi, gniotąc się wzajem, snopami kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi, człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłómoka pochylał się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wolą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łanom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

— Aj, aj! aj! och!

Były to westchnienia i wykrzyki żądy. Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie cmoknął, tłomok swój z pleców na drogę zrzucił i na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie grochu zatopił. Teraz słycać było chrzęst odłamywanych strąków i głośne chrumstanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na klęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieloności do ust i od ust do zieloności. Strąki grochu były całe oblane rosą i trudno byłoby powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód czy pragnienie. Co pewna to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet pił niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nisko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i — jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili, niedaleko, bo o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilku elastycznych poskoków, klęczącego człowieka pochwyił za kołnierz ubrania. Zarazem, głos gruby, ale młody i świeży zawołał:

— A co ty tu robisz, złodzieju, rozbójniku, włóczęgo! Groch nasz depczesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby galopować, nawet pod bodźcem kija — pytanie. Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej! Kilkakrotnie zgiał się niskimi, prędkimi ukłony, ochryplym głosem i bezładnie mówiąc:

— Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści! ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch, tak sobie przy drodze... taki piękny groch... ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści... czyto taka szkoda, czy co?

Niesłuchając go prawie, chłopak krzyczał:

— A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może przybytek nam z tego, że *takie* złodzieje, jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. *Było* (trzeba było) jeszcze kartofli naszych nakopać? Miałbyś czym *balabostę* w szabas potraktować. Przez was, człowiek jak pies, na polu nocować musi, aby swojej rodzonej własności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapie. Ot i złapałem. Ot i złapałem. Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie! popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzyczał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochryply, cichy głos wciąż znowu odpowiadał.

— Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg — oj, są! ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodziło... żeby on, nu! *sto* takich pięknych synów jak panicz wyhodował.

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zginał się niskim ukłonem a krępy chłopak, w krótkiej siermięzce, ochłonął znać z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

— A to go błogosławi! — zawołał. — *Sto* synów! Piękniebym ja na tem wyszedł, gdybym miał dziewięćdziesiąt dziewięć *bratów*! No, nie durz się ty, duszo niechrześcijańska, i idź, gdzie ci każe. Nic ty u mnie swemi błogosławieństwami *nie wycyganisz*! Marsz przede mną, a ja za tobą, jak żołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! *Ein, zwei, drei, marsz*!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij swój wziął do ramienia i następował na Żyda, który z trudnością i stękając, wkładał tłomok na plecy. Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

— Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja nie mam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie zrobi. Ja pana *Ignac Korejbe*go znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot teraz to już z pięć *latów*, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! ja jego nie boję się! on *miłosierny* człowiek!

Jednak, w drzeniu głosu i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że bał się. Cóż chćecie? Zaczął iść znowu ze zgjętymi plecyma i schyloną twarzą. Oddech jego tylko stał

się głośniejszym i więcej ochryplym niż wprzódy; kilka razy zakaszłał i splunął. Karciciel jego tuż za nim postępował. Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

— Na prawo, marsz! — donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się cicho i ochryple.

— Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!

— Będziesz ty mi wieszował, jak ci tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!

— Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszłał i na chwilę przystanął.

— No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ścisniętą pięść podniósł nad zgiętymi plecyma Żyda; nie uderzył go jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie.

— Och, och, och!

W folwarku Ignacego Korejby, dom mieszkalny niewielki, szary, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej mieściła się czeladź wraz z ptactwem domowym, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono. W izbie czeladnej, przy wielkim ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubasne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach. Z drugiej strony sieni, izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświecał także ogień, palący się jednak nie w wielkim piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku, jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stolki, na zalegające kąt izby wielkie krosna tkackie i przez drzwi otwarte, zaglądnąc do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów, wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobiałek, motków i także świętych obrazków. Izba tamta służyła widocznie za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię a poczęści także i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadransem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami swymi napełniał wozy zżętym jęczmieniem i teraz z powodu gorąca surduta z siebie zdjąwszy, w płóciennej kamizelce po wierzch koszuli siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki. Niski był, krępy, z szerokimi plecyma, twarzą okrągłą, jak księżyc w pełni i głową zjezoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku jego, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały, lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa nakazywanych sobie niedostatków i przecierpianych utrapień. Wszystko to przecież nie przeszkadzało temu, że teraz, z całej postaci tego zaściankowego szlachcica biły niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała wyrazem rubasznej wesołości i szczerzego zadowolenia z siebie i wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole, wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, wysoki, muskularny, na długich nogach, z twarzą długą i ciemną, przebiegłymi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi ustami. Miał on na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyję. Wiadomo było wszystkim, że był bardzo dumny, drwiącym ze wszystkich, a podobno też i zręcznym człowiekiem. Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do płotu przywiązał i wstąpił do Korejebów na pogadankę sąsiedzka i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Jednak z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłymi oczyma zerkał na młodziankę Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała. Ten jednak nie był jej snąc miłym. Niewysoka i jeszcze niedorośla dziewczynka, w perkalowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej jej szyi, stała w pobliżu ognia i profilem do konkurenta zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina. Odblask ognia złocił jej twarz, przypominającą okrągłe, rumiane jabłuszka, przeglądał się

w siwych żenicach i rozzarzał czerwoność wstążeczki, opasującej jej włosy koloru złota, luźnie na plecy spuszczone. W tym odbłasku, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyźni, stała matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem tak samo, jak u jej męża zmarszczonym i tak samo grubymi rękami, nie tak przecież jak on silna i zdrowa, owszem, może trochę chora, może zahukana, gapowata, wciąż usta otwierająca. Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła, pielęgnowała i grzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo: ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szorstkiej powierzchni komina wodząca i dwaj synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba. Miał on ciężkie swoje zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej *lgoty* (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w *soldaty*. Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak i wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejбина zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła. Zaś ekonom z Szumnej, teścia swego *in spe* z przymileniem zapytał:

— No — a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Na okrągłą i czerwoną twarz Korejby, jakby promień słońca spłynął.

— Janek — panie, dobrodzieju! oho! i on pójdzie, pewnie pójdzie... tylko, że nie na soldata, ale na adwokata... cha, cha, cha! Zdolna błaznota, że niech Pan Bóg broni i do książek, jak Żyd do biblij! „Ja tatku, powiada, jak szkoły skończę, do uniwersytetu pojedę!” „Jedź synku, mówię, ucz się, królem będziesz”. A on: „Nie królem tatku, ale adwokatem!” Niechaj będzie i tak! Niechaj choć jeden Korejba na ludzi wyjdzie. Chwała Bogu! stać mi teraz na edukacją syna... Stefek jej nie dostał, co robić? Inne czasy były. Zato, jeżeli szczęśliwie służbę wojskową skończy, więcej ziemi dostanie... po sprawiedliwości... ja żadnego z moich dzieci krzywdzić nie chcę i wszystkie troje równiuteńko obdzielę... równiuteńko... a mnie i dziewczyna to także rodzone dziecko, a jakże! tyle będzie miała, co i bracia... ot.

Dziwnym fizjologicznym objawem, czerwieniące się wśród czarnych włosów uszy ekonom z Szumnej, poruszyły się bardzo widocznie w chwili, gdy Korejba rozprawiał o zamiarze równego podzielenia majątku swego pomiędzy wszystkie swe dzieci. Latające jego oczy zapływały masłem i miodem i zwróciły się ku stojącej u komina dziewczynce. Najzupełniej nagle i niespodziewanie, głosem tak grubym i podniesionym, że aż Korejba szeroko oczy wytrzeszczył, zawołał:

— Budzę panią, panno Jadwigo!

Był to niezmiernie zręczny sposób zawiązania rozmowy z młodziutką bogdanką. Ale, zamiast jak wypadało, odpowiedzieć wzajemnym pytaniem: „w jakim kolorze?” bogdanka zerwała się jak strzała, przebiegła izbę i wybiec z niej miała, gdy nagle w drzwiach rozległo się głuche stuknięcie i zaraz potem dwa wybuchy dźwięcznego śmiechu! Stuknięcie pochodziło z nagłego spotkania się z sobą dwu młodych głów, a było tak silnym, że aż rozległo się po izbie. Nic to. Dziewczyna, trzymając się ręką za skroń śmiała się tak, że aż od śmiechu zataczała się po izbie i głośno śmiał się także szesnastoletni chłopak, który w płóciennej bluzie i ze strzelbą na plecach wbiegł do izby, a jedną ręką zrywając z głowy czapeczkę, zdobną w srebrny znak szkolny, drugą rzucił na stół dwa zabite ptaki. Za nim wpadł i po izbie i radosnym skomleniem wic się zaczął pies nieduży, trochę wyżeł, daleko więcej kundel, zabłocony tak, że trudno było rozpoznać kolor jego sierści. Z ubrania chłopca poznać można było, że wracał z myśliwskiej wycieczki, obuwie miał zabłocone, całą odzież przesiąkniętą wilgocią mokrych łąk. Twarz jak u siostry okrągłą i drobną, tylko znacznie mizerniejszą, oblewał mu pot kroplisty i rozpromieniał wyraz tryumfu. Pierwszy to raz w wakacyjnej porze, ojciec pozwolił mu zdjąć ze ściany swą strzelbę i iść z nią na polowanie.

I oto teraz zabił dwa bekasy! Dla genjusza rodziny poruszyło się wszystko, co w izbie żyło. Korejba w grubych swych dłoniach macał i ścisnął przyniesione ptaki.

— Dubelty, panie dobrodzieju, tłuste, jak masłem oblane, patrzcie-no, jak ta błaznota strzelać umie!... cha, cha, cha!

I śmiał się na całe gardło, a ekonom z Szumnej wtórował mu swym basowym głosem, dopytując się Janka, na jakich łąkach polował, doradzając inne, ofiarując psa swego, prawdziwego, „słowo honorowego człowieka”, prawdziwego wyzła — pontera.

Korejбина zdejmowała synowi strzelbę z ramion i fartuchem mu pot z twarzy ocierała. Jadwinia niezupełnie jeszcze śmiech utuliwszy, rzuciła się do stojącego w ogniu garnka. Młodzieńki myśliwy wyszedł z domu zaraz po południu i głodnym być musiał. Wnet na stole zjawily się talerze z kwaśnym mlekiem i ogromna misa dymiących się, zaskwarzoną słoniną oblaných kartofli. Hej! zrobiło się tam bardzo wesoło i jasno. Ogień na kominie wciąż buchał szerokim płomieniem, a Korejбина jeszcze i świeczkę w mosiężnym lichtarzu postawiła na stole. Na intencją gościa, z szafy wydobyte cynowe łyżki połyskiwały jak srebro i dzwoniły o fajansowe talerze, czerpiąc z nich mleko, okryte warstwą różowej śmietany. Korejba w ręce sąsiada pił wiśniówkę domowego wyrobu; Korejбина, z szerokim uśmiechem na kościstej i gapiowatej twarzy, dolewała i dokładała jedzenia gościowi i dzieciom, ekonom z Szumnej, ręką ze złotym pierścionkiem ocierając co chwila zsiadłe mleko ze sterczących wąsów, miodowe spojrzenia rzucał na Jadwisię, która rozweselona i udobruchana, klęcząc na ławie, a połową ciała leżąc na stole, jadła z jednego talerza z bratem, bosemi pięćmi wybijając o brzeg ławki wesołe takty i zdecydowała się nawet, z chmurną trochę figlarnością, odpowiadać na zaczepki niemilego konkurenta.

— Panna Jadwiga czegociś zła dzisiaj.

— Ja wcale nie zła, tylko się tak panu Tomkiewiczowi zdaje.

— A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi...

— To niech się pan Tomkiewicz nigdy nie gniewa, boby zeszeptniał...

— Czyto ja mam sobie w ten sposób rozumieć, że w oczach pani jestem teraz pięknym?...

Wszyscy obecni, zając się, śmieli się i tylko Janek, na koncepty siostry i Tomkiewicza wcale nie zważając, ani na chwilę nie przestawał opowiadać o swym dzisiejszym polowaniu. Dźwięczny, cienki, wpółdziecinny jeszcze głos jego, nieustannie górował nad wszystkimi innymi głosami. Jadł, gestykulował i gadał. Najwięcej mowę swą zwracał do ojca, którego policzki wydeptane były od pożeranych kartofli, a oczy błyszczały od gorąca i zadowolenia.

— Patrzę ja, tatku!... Trezor stoi... waruj! — krzyczę. — Stoi jak mur! Fuzją do oka... idę... Pójdź dalej! — mówię. — Trezor idzie dalej! pójdź dalej! dubelt foor! pif, paf! upadł...

Trezor, słysząc swe imię, biegał dokoła stołu, radośnie skomląc; dano mu talerz kwaśnego mleka.

— Cha, cha, cha, cha! — na całą izbę śmiał się Korejba — jak ta błaznota do wszystkiego staje! I do książki i do fuzyjki... Tylko mi się kiedy nie postrzel, smarkaczu...

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni i, ręką czyjaś popchnięty, do izby wpadł człowiek w długiej, podartej, u piersi rozwartej odzieży, w obuwiu wykrzywionem i białem od pyłu, z tłomokiem na plecach, z kijem i czapką w ręku. Popchnięto go tak silnie, czy też sam był tak słabym, że od progu zatoczył się jak pijany i stanął dopiero wtedy, gdy dłonią oparł się o ścianę. Stanął pomiędzy drzwiami a kominem, w cieniu nieco i zgarbiony pod swym ciężarem, głowę na złote światło ognia wysunął. Ta postać chuda, łachmanami okryta, chyląca się w niskim ukłonie, z ciężarem na plecach, kijem w ręku, włosami rozrzuconymi i twarzą, sterczącą szczękowemi kośćmi, a obleczoną skórą, podobną do żółtawego opłatka, — w tej, wesoło oświetlonej izbie, wśród tych zdrowych, ogorzałych twarzy, ciał bogatych w kości i tłuszcz, śmiechów rubasznych i skromnych dostatków, ukazała się, jakby nagle z ziemi wyrastający duch cierpienia.

— W imię Ojca i Syna... — niosąc rękę do czoła, zaczęła Korejбина.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — z drwiącym śmiechem krzyknął Tomkiewicz.

— Jezus, Marja! — jęknęła Jadwisia i oczy schowała za plecy brata, który łyżkę na talerz opuścił i swawolą rozogniony, wzrok swój wlepił w oczy przybyłego, zapadłe, błyszczące, olśnione i przerażone.

Ku stołowi szerokim krokiem zbliżył się krępy i silny chłopak, w krótkiej siermięzce i wysokich butach. Był to żyjący portret ojca. Tak kiedyś pewno wyglądał stary Korejba. Błękitne oczy młodzieńca błyszczały, czoło białością swą odcinało się od ogorzałych policzków; włosy miał jasno-złote jak u siostry, a ręce zgrubiałe od pracy na roli, jak u obojga rodziców. Niedbale skinął głową ekonomowi z Szumnej i stanął przed ojcem.

— Złodzieja, tatku, przyprowadziłem... groch nasz żarł, aż mu za uszami trzeszczało a może też i w kieszenie nabrał. Niech tam tatko robi sobie sąd nad nim! ja swoje zrobiłem.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy mu matka wepchnęła w ręce talerz pełen kartofli i skwarek, a Ignacy Korejba podniósłszy się nieco z ławy, pięścią w stół stuknął tak silnie, że aż podskoczyły na nim talerze i łyżki. Na niskim i nawskróś zbrudzonym czole starego rolnika, żyły nabrzmiały jak błękitne sznurki, oczy mu zapłonęły, policzki zaszły ciemną purpurą. W tem mgnieniu oka dostrzedz można było, że gdy rozgniewał się, mógł być strasznym.

— A psie przeklęty! będziesz ty mnie moję krwawicę marnował!

Krzyk ten podobny był do ryku lwa, tak jak sarkanie Stefana przypominało mruczenie młodego niedźwiadka. Zapychając usta kartoflami i szeroko giestykując, wyrzekł on przed Tomkiewiczem na złodziejów, w różny sposób grabiących ich dobro. Choć wzbogaceni, ojciec i syn nie przestali własnymi rękami orać, siać, kosić; bronili więc swej krwawicy, jak wilki ciężko zdobytego łupu. Nagle przecież stary Korejba przestał krzyzczeć i jak ludzie z osłabionym wzrokiem, dłonią sobie oczy przysłaniając, wpatrzył się w pojmanego.

— Coto? — zapytał — Gedali, czy co? Czy ty Gedali z Wołpy? No, gadajże! czyś oniemiał?

Zapytywany kilka razy poruszył ustami i po kilku sekundach zaledwie, znowu kłaniając się nisko, wybełkotał:

— Gedali! wielmożny panie! Ja... Gedali z Wołpy... ten sam, do którego wielmożny pan kiedyś po sól i żelaztowo zajechał... ten sam, który tę brykę miał i parę tych pięknych koniów... coto pan wie... oj!...

Ochłonął nieco z przestachu i głową żałośnie wstrząsnął. Korejba go śnać sobie przypominał, bo sapiąc opuścił się znowu na ławę i z gniewem jeszcze, ale znacznie już mniejszym sarknął.

— Ślicznie się wy kierował na złodzieja, co po cudzych polach chodzi i kradnie...

Żyd chudą ręką uderzył się w piersi.

— Wielmożny panie! ja nie kradł, żeby mnie nieszczęście spotkało, jeżeli ja kradł, żeby ja jutrzejszego dnia nie doczekał...

— A cóżes robił? — W jednym ręku trzymając talerz, a drugą w pięść ścisnąwszy, przyskoczył do niego Stefan; — a cóżes to robił, niedowiarku, kiedym cię tam przy grochu schwytał? he?

— Nu! przepraszam!... niech wielmożny panicz nie gniewa się... ja tego grochu nie kradł...

— Cóżes robił? — ze wzmagającym się znowu gniewem krzyknął Korejba.

Tomkiewicz, który na Żyda spoglądał z przygnębiającą wzdrganiem, zażartował:

— On pewno patrzył, czy w tym grochu ruble czasem nie rosną...

Żyd cicho wymówił:

— Ja jego jadł... to prawda...

Korejba wybuchnął znowu.

— A cóżto ty sobie myślisz, że ja groch sięję dlatego, aby każdy włóczęga objadał się nim *podostatkiem*. Poczekaj... nie daruję.. musisz zapłacić, albo cię do *mirowego* (sędziego pokoju) zaciągnę...

Żyd znowu pokłonił się nisko.

— Oj, — jęknął — niech wielmożnemu panu sto lat życia i zdrowia będzie, kiedy wielmożny *Gedalu* daruje... ja do Szumnej na nocleg szedł i ten groch spotkał... On przy drodze rośnie a czemu on przy samej drodze rośnie! Aj! wiele ja tam zjadł! troszeczkę...

Tomkiewicz, który widocznie dowcipem swym olśnić chciał ulubioną, figlarnie na Jadwinię zerknął i z grubym śmiechem zawołał:

— To wam, Żydzio, słowo honorowego człowieka, wasza religia wiele kraść nie pozwala, ale troszeczkę pozwala, co?

Żyd dziwnie jakoś oczyma ku mówiącemu błysnął i ze szczelnie zaciśniętymi ustami milczał chwilę. Potem, w ziemię patrząc, odrzekł.

— Naco tu religia? Ona nikomu kraść nie pozwala.

I jeszcze ciszej kończył.

— Ja był głodny...

— Kiedyś był głodny, trzeba było prosić, ale nie bez pozwolenia brać... — zaczął Korejba, lecz Tomkiewicz, akcent żydowski naśladowując, mowę mu przerwał.

— A jeżeli ten groch był trefny, to co teraz będzie?

Żółte wargi Gedalego poruszyły się niespokojnie; Tomkiewicz dotknął snąć tym razem drażliwej strony jego sumienia. W ziemię patrząc i zwiędłe czoło swe, pod opadającą na nie gęstwiną siwiejących włosów marszcząc, dumiał. Nagle wyprostował się o tyle, o ile tylko dozwalała na to tłoczony mu plecy tłomok, gięstem rozpaczliwego postanowienia szeroko rozłożył ręce, twarz ku sufitowi zwrócił i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, głos nieco podnosząc, zawołał:

— Aj, aj! żeby sam rabin koło tego grochu chodził, toby go trochę zjadł: taki groch!

W wykrzyku tym było tyle zapалу, którym głodny żołądek przejął się dla pięknego grochu, że nikt z obecnych nie zaśmiał się, ale owszem, stary Korejba i obaj jego synowie trochę pochmurnieli. Jeden Tomkiewicz miał widoczną ochotę strzelić znowu dowcipem, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ulubiona jego zsunęła się z ławki i u kominia stanawszy, dużemi swojemi, siwemi oczyma ciekawie i poważnie na żyda patrzyła.

— Patrzcie, — po chwili ozwał się gospodarz domu, — toś ty tak zbiedniał, Gdalku! Jużem cię chyba z dziesięć lat nie widział, ale gdym często jeszcze bywał w Wołpie, pamiętam, że miałeś się wcale dobrze...

— Zbiedniałem, panie, *ze wszystkim* zbiedniałem...

Tomkiewicz wytrzymać już nie mógł.

— A żeby tak ślepy gołego okradł — huknął — jak to prawda jest, że on biedny! który z nich biedny? oni wszyscy, to pijawki krwią ludzką napojone... słowo honorowego człowieka.

Gedali powolnym ruchem twarz zwrócił ku mówiącemu i patrząc nań nie rozniewanym, ale zamyślonym i nieruchomym wzrokiem, kij z ręki wypuścił i obie ręce ku piersi podniósłszy, rozwarł okrywające ją strzępy chałatu. Pod strzępami temi ukazała się koszula tak podarta, że ciemne, chude ciało zaświeciło przez wielkie jej dziury. Jednocześnie piersią tą wstrząsnął kaszel, krótki i ochryply, zza podartych rękawów chałata widać było nagie ramiona.

— Niechłujstwo! — mruknął Tomkiewicz i głośno na środek izby splunął.

Stojąca przy kominie Korejbina odwróciła twarz, szepcząc: „Matko Boska! “ Korejba grubemi palcami zabębnił po stole, a Janek najniespodziewaniej w świecie swym cienkim chłopięcym głosem zawołał:

— Dlaczego pan swojej torby z pleców nie zdejmie? Niech pan będzie łaskaw z siebie zdjąć tę torbę!

Tomkiewicz parsknął śmiechem.

— Pan! no, pan! Cha, cha, cha, cha! Słowo honorowego człowieka, jeszcze jak żyję nie słyszałem, żeby takich łapserdaków panami tytułować. Widać, że pan Jan wielkiej już grzeczności wyuczył się w mieście.

Chłopak zaczerwienił się jak wiśnia i z dumą szesnastoletniego gimnazjasty głowę podnosząc, odrzucił:

— Może być, że pan Tomkiewicz o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał, ale my to już dawno wiemy, że człowiek cywilizowany dla każdego grzecznym być powinien.

— Cicho Janek, cicho! — ulubienica swego oburknął Korejba, lecz wnet łaskawie dodał:

— No, zdejm już Gdalu ten wór z pleców i wyprostuj się, kiedy panicz tak chce.

Gedali, widocznie ucieszony, począł przez ramiona i głowę zdejmować grube sznury tłomoka. Nie mógł jednak tego uczynić od razu: ręce mu drżały i zakaszłał silnie.

— Jadwisio! pomóżże mu! — zakomenderował Janek.

Dziewczynka, która stała najbliżej Żyda, poskoczyła w mgnieniu oka, czerwoniemi i nie małemi wcale rękoma, przerzuciła mu w tył głowy splot grubego sznura. Tomkiewicz oburzył się.

— Jezus, Marja! — krzyknął — jeszcze czego nie stawało, aby panna Jadwiga około żydowskich łapserdaków rączki swoje brudziła. Co nadto, tego już, słowo honorowego człowieka, i świnie nie jedzą!

Ale Jadwisia, komenderówce brata gimnazjasty posłuszna, dla innych zuchwały języczek w rumianej buzi miała.

— Niech pan Tomkiewicz o moje ręce nie dba! Jak je zabrudzę, to i umyję, a wody u pana nie poproszę.

— Cóżto macie w tej torbie? czy po jałmużnie chodzicie? — szeroko gapiowate swe usta otwierając i głosem przewlekłym — zapytała matka rodziny.

Gedali przecząco wstrząsnął głową.

— Ja nie żebrak...

— A cóż tam jest w tej torbie?

— Ja *kramarz*... po dworach i okolicach szlacheckich, nu i po wsiach chłopskich chodzę i towar sprzedaję.

— Jednakowoż — z zamyśleniem zaczął Korejba — jak ty mogłeś tak zbiednieć Gdalku? Toż ja pamiętam, że żonka twoja trzymała w Wołpie *kramę* z solą, żelaztmem i różnemi drobiazgami, a ty domek własny tam miałeś i furmaniłeś. Pamiętam, ho! pamiętam ja te czasy, kiedyś jeszcze w łapciach, panie dobrodzieju, do Wołpy przyjeżdżał i do was zachodził. U żonki twojej kupowałem, co mi było potrzeba, roztropna była i przystojna Żydowica, ta twoja Merka — a twoją bryką raz do *strzecznego* (stryjecznego) brata aż za Słonim jeździłem. Cóżto takiego stało się z tobą?

Gedali stał teraz prosto, o gzems komina oparty, zupełnie prawie już pewny, że mu się tu nic złego nie stanie. Na pytanie Korejby odpowiedział:

— Co? Ot co... Pan Bóg dopuścił. Mój dom w Wołpie spalił się.

— Szkoda! szkoda! — z widocznym współczuciem rzekł Korejba.

— I dobrze! — krzyknął Tomkiewicz. — Zjadał wilk, zjedli wilka! Albo to oni mało budynków ludzkich podpalili. W Krzewnie tej wiosny *podwał wódczany* podpalili, a w Pałówce karcznię.

Cicho i zlekka ramionami wzruszając, Gedali odpowiedział:

— Ja nie podpalał.

— Ale bo nie mogłeś, a żebyś tylko mógł, tobyś podpalił.

— Nie podpaliłby, — zaprzeczył Korejba — ja jego kiedyś dobrze znałem. Człek był spokojny. A Merka twoja jak ma się? Czy i ona już w Wołpie *kramy* nie ma?

— Umarła.

— Patrzajcie! umarła! — Szeroko znowu usta otworzyła Korejbina; — a a a! *taki* jeszcze i nie stara była kobieta! a z czegoż-to ona umarła?

Żyd patrzył w ziemię.

— Ot, z czego? Pan Bóg dopuścił... nie tu wspominając, ze złej choroby...

— Znaczy, z cholery, — rzekł Korejba, a ekonom, szybko poruszając krzaczystemi wąsami, żywym ruchem zwrócił się do Żyda.

— No Żydzie! — zawołał — jak jutro przez Szumnę przechodzić będziesz, słowo honorowego człowieka, dam ci garniec świeżego grochu, tylko mi zaraz powiedz, jak nazywa się ta choroba, na którą twoja żona umarła! cha, cha, cha, cha!

Gedali niespokojnie poruszył wargami.

— Nu, nie tu wspominając, to zła choroba...

— Ale ty mnie gadaj, jak ona nazywa się?

— Jak ona nazywa się? A na co to mówić, jak ona nazywa się!

— Za nic bestja nie powie! Żeby go poćwiertować, nie powie, — wybuchnął śmiechem Tomkiewicz.

— Taki już u nich głupi zabobon, — przywodził Stefan.

Janek czerwieniąc się znowu, sentencjonalnie i dobitnie wyrzekł:

— Jest to nieludzkość, beż żadnej potrzeby zmuszać kogoś do tego, co mu przykrość sprawia.

Widocznie zaczynał brać do serca sprawę Żyda; przytem obchodziły go losy koni, które tenże niegdyś posiadał.

— A konie? — zapytał.

— Jeden zdechl, a drugi oślepl i ja jego sprzedał za piętnaście *rubłów*.

— Ale ty cośiś dużo dzieci miałeś, — zaczął Korejba; — pamiętam, że kiedyś u was bywał, z pięcioro tego uwijało się około twojej Mery.

— Siedmioro... — poprawił Gedali.

— A Jezus! — jęknęła Korejбина, — siedmioro wykarmić i wyhodować, czy to żarty?

Na grubej dłoni kościsty policzek wspierając, żałośnie kołysała głowę. Ona dobrze wiedziała, co znaczy karmić i chować dzieci, w lepszym nawet bycie, a cóż dopiero w takim mizernym. W głosie jej brzmiało jakby poszanowanie dla rodzicielskich boleści i trudów, gdy łagodnie patrząc na Żyda zapytała:

— A w jakim wieku?

Powoli, to z gorzkiemi nieco, to znowu z radosnemi niemal uśmiechy opowiedział, że jedno tylko z dzieci jego było zupełnie dorosłe: córka, która po śmierci matki doglądała i chowała wszystkie inne; że z tych innych, syn jeden uczył się szewstwa, drugi uczęszczał do Talmud-tory, takiej sobie żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, trzeci niczego nie uczył się, bo mu Pan Bóg do niczego rozumu nie dał, czwarty zaś, Chaimek, był bardzo rozumny, ale jeszcze zupełnie mały. Co do dwóch młodszych córek, te, choć w służbę iść chciały, nie mogły, — bo nic nie umieją i żadnej siły w sobie nie mają.

— Siedzą sobie tedy w izbie i pończochy na sprzedaż robią. Jedna z nich, Małka, piętnaście lat ma i bardzo ładna, ale taka blada jak papier i nigdy nic nie mówi. Dlaczego ona nie mówi? Albo on wie! Ze smutku może, czy z biedy, bo ot, jejby trzeba jeść więcej i troszkę wesołości nabrać, a tu zkad? W jednej izbie wszystkie ośm żyją i trzy ruble na tydzień mają, te trzy ruble, które on ze swego handlu zarabia. Całego majątku zostało mu ośmdziesiąt rubli; on za to nakupił towaru, co tydzień na szabas wraca do dzieci i przynosi im trzy ruble. Nu, jak Pan Bóg da, czasem cztery albo pięć, ale rzadko, — najczęściej trzy i wtedy bieda; ażeby dobrze sobie przeżyć, trzeba by im mieć ośm rubli na tydzień. Och! och! żeby on miał ośm rubli na tydzień, jakiebyto było szczęście dla niego i dla jego dzieci...

Mówiłby pewno dłużej, ale kaszlać zaczął. Na palcach przeszedł część izby i do kąta splunąwszy, na uprzednie miejsce powrócił. Obecni milczeli chwilę. Zdawało się, że duch litości przez izbę tę przeleciał i miękkim skrzydłem musnął wszystkie te grube twarze.

Korejba bębnił palcami po stole i myślał, o czym? Może o czasach ubogiej swej młodości, gdy w łapciach jeszcze zachodził do domu Gdala i wesoło gawędził z żoną jego Merą. Korejбина, z policzkiem na dłoni wspartym, myślała także może o jednej ze zmarłych swych córek, która na rok przed śmiercią, tak jak teraz córka Gdala, stała się białą jak papier i milcząco jak zdławione ptaszę. Stefan siedział u okna, brodę oparł na rękę i marszcząc białe czoło, dumał; miał i on swoją zgryzotę; za rok, precz mu z tej chaty, do wojska. Więc słuchając o biedach cudzych, zasmucił się także. Jadwisia, która jeszcze żadnych smutków nie zaznała, przysiadła na ziemi i odrzuciwszy na plecy złotą grzywę włosów, z podniesioną twarzą wlepiła w Żyda siwe swe źrenice, zdziwione. Jeden Tomkiewicz, widocznie kwaśny, strzelił znowu konceptem.

— A lichozbo ci kazało, Żydzio, tyle dzieci napłodzić?

Gedali odpowiedział:

— Wiadomo... u najbiedniejszych, zawsze *dzieci*ów najwięcej.

Tu zadzwonił znowu chłopięcy i pełen pewności siebie głos Janka:

— Niech pan siada, panie Gdalu, proszę pana siadać.

Gedali uklonił się, ale Korejba propozycji syna nie podnosząc, z zamyśleniem zaczął:

— Jednakowoż, jakieto na świecie bywają wypadki. Ot, on człowiek spokojny i uczciwie pracujący przepadł, a ten szelma Mendel z Szumnej, kręciciel taki aż strach! Słyszę, już Szumnę w dzierzawę bierze.

Tu oczy jego przybrały wyraz trochę złośliwy i zukosa na ekonoma zerknęły. Chodziły po świecie pogłoski, że Tomkiewicz z bogatym Mendlem okrutnie na niekorzyść dziedzica Szumnej szachrował. Zmieszał się też trochę ekonom, Korejba zaś powtórzył.

— Ha? czemu to tak? ten nic złego nie zrobił i w biedzie — a tamten, gałgan, bogaczem sobie jest... Ot, jak na świecie, lepszemu gorzej, gorszemu lepiej.

Gedali kilka kroków naprzód postąpił i nieśmiało zaczął:

— Przepraszam wielmożne państwo, u nas o tem jest przypowiestka.

Jadwisia uczyniła żywe poruszenie; nadzwyczajnie lubiła bajki i przypowiestki. Żyd wyprostował się i mówić zaczął.

— U nas napisane stoi. Kiedy pan Bóg chciał temu światu Biblią dać, to powiedział, żeby wszystkie góry do niego przyszły. Góry, ma się rozumieć, posłuchały Pana Boga, ale

te, co były wielkie, stanęły na przodzie bardzo pyszne z tego, że były wielkie i czekały, której z nich Pan Bóg Biblią da. Pan Bóg popatrzał, popatrzał i zawołał do siebie najmniejszą górę, taką małą, że ona za wielkimi schowała się i myślała, że jej Pan Bóg nie zobaczy. Ale Pan Bóg zawołał ją i powiedział: „Ja Biblią tobie daję, bo ty choć mała, ale więcej jesteś warta w moich oczach od tamtych wielkich. A dlaczego ty więcej warta? Dlatego, że one pyszną się, a ty nie pysznisz się i dlatego, że z nich wiele kamieni na ludzi spadało, a z ciebie żaden kamień na nikogo nie spadł”. I dał Pan Bóg Biblią najmniejszej górze, a jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Jehuda — gadał, że ta przypowieśćka pokazuje, że małeńki człowiek może być więcej wart od wielkiego, jeżeli on niepyszny i nikomu nie zaszkodził, a tamten pyszny i dużo złego ludziom narobił.

Dłonią o stół uderzając, stary Korejba z błyskiem oczu zawołał:

— To jest prawda! Ot, np., wiesz co, panie Tomkiewicz, kiedy mnie pan Palicki procesem dusił, aby mi niesprawiedliwie moją fortunę odebrać, gryzłem się, panie, tak, że o mało nie chorowałem ze zgryzoty, a wszakże często myślałem sobie: choć on wielki pan, a ja chudy szlachcic łapciasty, lepszym od niego, bo on krzywdziciel i pyszny Herod, a ja nikomu wody nie zamąciłem, własną krwawicą swoją dobyteń wszystko, co mam, a czasem to jeszcze panie, komu i dopomogłem...

— Przepraszam wielmożnego pana — odezwał się Gedali — to co pan teraz powiedział, to są takie *winogrony*, co na kołacym krzaku rosną... ja nie wiem, jak ten krzak nazywa się, co to tak kole?

Pytającym wzrokiem wodził po wszystkich twarzach.

— Może głóg — odpowiedziała Jadwisia.

— Aha! panienka dobrze wie... *glog! glog!* U nas i o tem jest przypowieśćka ładna.

Dziewczynka klasnęła w dłonie. Gedali przygąsłym swym wzrokiem popatrzał na nią i uśmiechając się, zaczął:

— Aj! jaka panienka wesoła! jakto dobrze patrzeć, kiedy kto taki wesół! Och! żeby to moja Malka była kiedy taka wesoła! Ona te same lata ma, co panienka i tego samego *rostu* (wzrostu), tylko biała jak papier i nigdy nic nie gada. Jeżeli panienka chce, to ja i tę przypowieśćkę opowiem... U nas tak napisane stoi: Kiedy Żydzi byli w niewoli babilońskiej, żył jeden bardzo uczony i pobożny człowiek, który nazywał się Uriel. I on był bardzo dobry, a dlatego, że był on taki dobry, to on żadnym sposobem tej niewoli przetrwać nie mógł. Kiedy on widział, że Żydów bardzo krzywdzili, on tak płakał, że jemu z wielkimi boleściami całe serce wylewało się przez oczy. I on szedł do tych, co niesprawiedliwie cierpieli i dawał im wszystko, co miał. Jednemu dawał troszkę swego rozumu, a drugiemu troszkę *pieniądzów*, a trzeciego tak sobie po twarzy gładził, jak matka swoje dziecko, kiedy ono chore. Ale to jemu nic nie pomagało i taki smutek jego przycisnął, że zaczął on do Pana Boga krzyczeć, żeby Pan Bóg jemu śmierć prędzej dał. Nu, Pan Bóg nie dał jemu śmierci, tylko spuścił na niego sen. Jemu przyśniło się, że on tak samo był w babilońskiej niewoli z całym narodem i że jeden z narodu przyszedł do niego i mówił: Reb-Urielu, poradź ty mnie, jak mam sobie w tym interesie dobrze zrobić; a on chciał radzić i nie mógł, bo język w gębie kołem mu stanął.

A drugi człowiek przyszedł i mówi: Reb-Urielu, naucz ty mego syna w świętych ksiązkach czytać — a on chciał uczyć i nie mógł, bo sam czytać zapomniał. A trzeci człowiek przyszedł i mówił: Reb-Urielu, daj mi co jeść — a on chciał dawać i nie mógł, bo cały jego majątek gdzieś przepadł. Aż Reb-Uriel krzyknął okropnie i obudził się i poczuł, że w głowie ma ten sam rozum co pierwiej, a cały majątek jego naokoło niego jest. Wtenczas on padł na twarz przed Panem Bogiem i modlił się: „Nie dawaj mi jeszcze, Panie Boże śmierci, bo choć ja bardzo nieszczęśliwy, ale ja szczęśliwy, bo mogę *radościów* robić tym, co smutne!... A jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Akiba — gadał, że ta przypowieśćka pokazuje, że jeżeli kto nieszczęśliwy i bardzo gryzie się, to niech on tylko dobrze naokoło siebie obejrzy się, a pewno zobaczy, że na tym głogowym krzaku, w którym on siedzi, słodkie winogrona rosną.

— Patrzcie! — rzekł Korejba — jaki ty mądry Gdalu, tyle historji na pamięć umiesz! I niczego sobie te twoje historje, dalibóg niczego, choć żydowskie. Siadajno, siadaj, teraz pogadamy sobie o tym grochu!

Ucieszony okazaną mu łaską, lecz znowu przerażony wzmianką o grochu, Gedali uśmiechał się, oczyma niespokojnie błyskał i kłaniając się razporaz, belkotał, że nie ma

śmiałości usiąść, że nic nie szkodzi... on sobie... tak postoi... Ale Jadwisia zerwała się z ziemi, schwyciła stół i stawiając go obok Żyda, ze ślicznym uśmiechem szerokich, lecz rumianych ust, rzekła:

— Proszę siadać! pewno już nogi od stania zabolą! Co tam, ot, proszę siadać!

To „co tam” odnosiło się do ruchu, jaki uczynił Żyd, aby pocałować tę czerwoną rączkę, która mu siedzenie podawała.

— A siadajże do licha! — rozkazująco krzyknął Korejba.

Żyd drgnął z przestrachu i w mgnieniu oka usiadł. Znalazł się tak blisko ognia i wyraźnie widać było, że nogi i ręce mu drżały, pierś podnosiła się szybkim, chrypiącym oddechem, a oczy tak zapadły, że pośród delikatnej i żółtawej skóry czoła i policzków, wyglądały jak dwie czarne, gorejące iskry.

— Ależ kiepsko wyglądasz! Lepszych od ciebie do trumny kładą — zaczął Korejba. Chory jesteś, czy co?

— Chory, wielmożny panie, chory!

Opowiedział, że już od owego spalenia się domu i śmierci żony, zaczął kaszleć i tracić siły, ale od dwóch lat coraz mu gorzej. Coś go strasznie na piersiach gniecie i już taki słaby, aż strach! Żeby on nie był chory, mógłby chodzić przedziej i zarabiać więcej, możeby nawet jaki korzystniejszy interes sobie obmyślił. Ale to taka choroba, co bardzo siły odbiera...

— Nu, niech wielmożne państwo sami zobaczą...

Chrząknął, splunął sobie na dłoń i rękę pełną krwi ku obecnym wyciągnął.

— Matko Boska — jęknęła Korejbina.

Jadwisia dłonią przysłoniła oczy. Tomkiewicz odwrócił się, splunął ze wstrętem i czapkę swą z ławy porwał, ale rzecz najdziwniejsza! pod krzaczystemi, małemi brwiami, małe i bystre oczy starego Korejby zwilgotniały. Dobrze, dobrze teraz przypominał sobie świetne czasy Gdalka, kramę jego żony, podróż, którą w budzie jego do Słonima odbywał i pożałował go bardzo. Syn ubóstwa i własnego ciężkiego dorobku, znał on zbliska wszystkie biedy i w twardem swem ciele duszę miał miękka.

— Suchoty, czy co? — półgłosem przemówił — czemu ty do licha nie leczysz się, Żydzie?

— Ja był u doktora.

— I coż ci on powiedział?

— A co? on powiedział, żebym ja codzień mięso jadł, dużo mleka pił, mało chodził i co tydzień bańki stawiał.

Uśmiech przewinął się mu po ustach, wstrząsnął policzkami, wznosił się aż na czoło, które zmarszczył aż po siwiejące włosy.

— Mięsa jeść i mleka pić ja nie mogę, bo to bardzo drogo kosztuje... Chodzić dużo ja muszę, bo z tego cały mój zarobek... to ja w jednym doktora posłuchałem... bańki co tydzień stawię... one tylko złotówkę kosztują... nu... złotówkę na tydzień, to ja mogę na swoją kurację wydać...

— Jezu! — zadziwiła się Korejbina — ale wy możecie tak dużo chodzić przy takiej chorobie...

Przestał uśmiechać się i poprostu, jednym słowem, odpowiedział:

— Chodzę!

W tej chwili Jadwisia, która na kilka sekund wybiegła była do sieni, wróciła i z białym, sporym garnkiem w ręku zbliżyła się do Żyda.

— Może mleka! — rzekła, podając mu garnek.

Gedalemu oczy błysnęły chciwością. Popatrzał chwilę na garnek, napełniony żółtawym, niedawno udojonem, jeszcze ciepłym mlekiem i przecząco wstrząsając głową, rzekł:

— Dziękuję panience. Mnie tego nie można.

— Co? trefne? — ze śmiechem zawołał Tomkiewicz.

— Mnie tego nie można...

— To może choć chleba z masłem? — ozwał się Janek.

— Gedali nic już nie rzekł, tylko przecząco znowu głową poruszył.

— Ot, zjedlibyście choć parę kartofli z solą, a to ze *wszystkiem* zesłabniecie — spoglądając w garnek, gdzie było jeszcze trochę kartofli, zaprosiła Korejbina.

Widocznie zakłopotany i twarz nieco od obecnych odwracając, Gedali odpowiedział:

— Dziękuję wielmożnemu państwu za wszystko... już ja sobie jutro u szynkarza w Szumnej podjem.

— No, żyjże to z tymi ludźmi! — grubym basem krzyknął ekonom — kiedy oni z chrześcijańskiej ręki kawałka chleba nawet nie wezmą, jakby wszystko, co nasze, zarażone im było! A! słowo honorowego człowieka! psiawiary oni i niech ich djabli porwą z ich trefami i głodnymi bachorami razem!

— To, to prawda! — potwierdził Korejba. — Ten naprzykład; jeść nie ma czego, lecz się nie ma zaco, a jeżeli dobry człowiek chce go trochę pożywić, to mu tam jakieś zabobony skorzystać z tego, panie, nie pozwalają. Przez to człowiek do nich, żeby jak litował się, serce straci...

Gedali słuchał uważnie, głowę schylił pokornie i ciężko westchnął. Gdy po chwili twarz podniósł, była ona okryta wyrazem głębokiej rozważki. Roztropność i nawet przenikliwość odmalowały się w nieśmiałym dotąd jego spojrzeniu. Zwykłym sobie, trochę ochrypłym i przyciszonym głosem zaczął:

— To jest prawda, co wielmożni panowie sobie mówią. Jest na świecie tyle nieszczęścia, *wiele* piasku w wielkim *more* (morzu). Jedno nieszczęście od biedy, drugie od choroby, trzecie od klótni a czwarte od tego, że człowiek rozumu nie ma! Ale tak zawsze na świecie nie będzie. Przyjdzie taki czas, że wszystko będzie dobrze. A od kogo ten czas przyjdzie? U nas i o tem piękna przypowieśćka jest.

Wyprostował się, dłonie na kolanach złożył i twarz podniósł nieco. Widocznie sphywało nad błogie natchnienie. Może przypowieść, którą miał opowiadać, była mu ze wszystkich najulubieńszą; może ciepło ognia i łaskawość ludzka, rozgrzały mu ciało i duszę.

— U nas tak napisane stoi. W starem mieście Jeszurum, na wysokim krześle siedział w wielkiej szkole, wielki rabin Mojżesz Ben-Majmon, a naokoło niego siedziało sto, może tysiąc a może dziesięć *tysiąców* jego uczniów. On do nich gadał po arabsku i po grecku i różnie; bo to był taki rabin, który do żadnego narodu *nienawisciów* nie miał i gdzie tylko rozum znalazł, kłaniał się jemu tak samo, jak żeby to był żydowski rozum. Kiedy on gadać przestał, wstał ze stolka najlepszy jego uczeń, który nazywał się Ben-Jehuda i powiedział: „Rabbi, ja w Biblii jednej rzeczy nie rozumiem! Może ty mnie co takiego powiesz, że ja ją zrozumiem” A czego ty nie rozumiesz? — zapytał Ben-Majmon. — A Ben-Jehuda odpowiedział: „Ja tego nie rozumiem, kto to te anioły, co śnili się naszemu *przedku* (przodkowi) *Jakóba*, że oni po drabinie do nieba wchodzili i znów na ziemię powracali?” Ben-Majmon pomyślał i zaczął tak gadać: „Te anioły, to *wielkie* ludzie, co robią się bardzo doskonale i mądre, znaczy, coraz wyżej idą w górę. Im trudno w górę iść, ale oni idą, bo siły już takie mają i takie wielkie chęci, żeby tam dojść, zkąd im będzie można dużo słodkości i światłości nabrać. Niech oni nazywają się *proroki*, albo *uczzone*, albo *miłosierdnego* serca, albo wielkiego głosu ale oni wszyscy — to te anioły, co po drabinie chodzą do nieba”. Tak gadał Ben-Majmon; ale Ben-Jehuda jeszcze kontent nie był i pytał się: „A dlaczego rabbi, oni to w górę idą, to w dół? Kiedy oni tak żądają być w górze, czemu oni tam nie zostają, ale znowu nazad na ziemię zstępują?” Ben-Majmon białymi włosami jak lew *potrząsnął* i odpowiedział: „Żeby oni zostawali się w górze i na ziemię już nie powracali, toby oni nie byli anioły! Ale oni w górze nabierają dużo słodkości i światłości i powracają na dół, żeby te skarby po ziemi siać. A gdzie oni ziemię usieją, tam ona lepsze zboże rodzi, kłótnie z niej nie wyrastają, ale spokojność wyrasta i ludzie mniej płaczą, a więcej cieszą się. Ot, poco oni na ziemię powracają, choć im powracać trudno i dla tego, Ben-Jehudo, oni są anioły”. Ben-Majmon przestał, a Reb-Jehuda i wszyscy co tam byli, cieszyli się, dziękowali jemu za to, że im taką piękną obietnicę dał. Ben-Majmon zapytał: „Jaką ja wam dał obietnicę?” A Reb-Jehuda odpowiedział: „Te anioły, Rabbi, kiedyś tak robią, że na świecie nie będzie ani głodu, ani klótni, ani takich co głupi, ani takich co płaczą i w sercu swoim krzyczą, że im bardzo źle!”

Snać nie tylko Ben-Jehuda z Jeszurum, ale i późny potomek jego, Gedali z Wołpy, cieszył się bardzo obietnicą, zawartą w słowach Rabbi-Majmona. Uderzające zaszły w nim zmiany. Stopy swe w wykrzywionych i opylonych butach silnie o podłogę wsparł, w zamian ramiona, z których opadały podarte rękawy, podnosił nieco w górę. I twarz ku sufitowi podniósł, tak, że broda spiczasta i prawie zupełnie siwa, sterczała nad jego szyją obnażoną i cienką, jak srebrzyste skrzydło. Ruchomy blask ognia spadał mu na czoło,

odkrywając na niem niezliczone bruzdy i zmarszczki, lecz z oczu rozgorzałych i zachwyconego uśmiechu tryskała słodycz mistycznej ekstazy...

Nagle tą obnażoną cienką szyję objęło ramię sprężyste i młode, rumiane usta, schylając się nad tem zbrudzonem czołem, wycisnęły na niem głośny pocałunek. Był to Janek, który od stołu powstawszy i powoli zbliżając się ku kominowi, z błyszczącymi oczyma i niezmierną uwagą słuchał przypowieści Żyda, a teraz, stanąwszy przy nim, ruchem może bezwiednym, dziecinnym jeszcze, objął mu szyję i pocałował go w czoło. Wnet potem odszedł i plecami o róg komina wsparty, stał tam z pochyloną głową, zarumieniony, zmieszany, milczący. Coś widocznie w chłopcu tym zawrzało. Czy wielka litość nad tym nędznym człkiem, który z takim zapalem o zbawcach świata roił? Czy uwielbienie dla ludzi-aniołów? Czy paląca nadzieja, że on sam kiedyś takim aniołem zostanie?..

Przez drzwi od sieni ukazała się głowa kobieca, w czerwonej chustce na rudych włosach i poszeptala chwilę z Jadwisią, która spostrzegłszy ją, wesoło ku drzwiom poskoczyła.

— Tatku! dziewczęta i *parobcy* chcą towary kramarza zobaczyć. Czy można?

— Możeby i można, ależ kiedy ty pewno bardzo tego nie chcesz? — zażartował stary Korejba.

Ręce opuściła na suknię, i błagającym wzrokiem na ojca patrzyła. Bardzo jej się chciało zobaczyć towary kramarza.

— Czy masz męzkie kamizelki? — budząc się z zamyślenia i wstając od okna zapytał Stefan.

— Otwieraj, Żydzie, tłumok swój, kiedy panna Jadwiga tak chce — huknął Tomkiewicz.

O! nie trzeba było prosić go o to. Żwawy, jakby mu połowy lat i biedy ubyło, sprężysty, jakby nigdy nie chorował, zerwał się ze stolka i przysiadł na ziemię, drżąciami od radości rękoma sznury worka rozwiązując. Co za szczęście! Przyszedł tu pojmany jak złodziej; mniemał, że wyszturchanym i złajany, a może i do sądu zawleczonym zostanie, a tu nietylko że, trochę pokrzykawszy, siedzieć go proszono i połudzku z nim rozmawiano, ale jeszcze i towary mu pokazać rozkazują... Może sprzeda, zarobi... Dziś środa, pojutrze do dzieci wracać trzeba... a tu jeszcze rubel do tygodniowych trzech brakuje. Zarobku! zarobku! na chleb i bańki dla niego, na chleb, kartofle i jakietakie łachmany dla dzieci.

Mistryk, rojący o przyszłym rajy ziemskim, bezwiedny poeta, z pamięcią pełną starych przypowieści, wynędzniały suchotnik, z apatyczną rezygnacją noszący po świecie swój głód i swoje łachmany — zniknęli, a na ich miejsce zjawił się kramarz wiejski, usłużny, żwawy, z biegającymi od twarzy do twarzy oczyma, z latającym w ustach językiem.

— Kamizelki męskie? a jakże! mam! czemu ja mam ich nie mieć? Panience może wstążeczki błękitnej? a paniczowi spinek do rękawów? Igły mam, szpilki, guziki, chustki różne, bardzo *pięknych perkałów*, *złotne* (złote) pierścionki, napastrki, nici, tasiemki... *korunki*... — Nawet drżenie nóg i chrypienie w piersi kędyś mu przypadły.

— Hej! Gdalku! — wpół serjo a wpół żartem zawołał Korejba — a cóż będzie z tym grochem, coś mi go zjadł? ha? może o tem pogadamy?

O! teraz już Gedali nie bał się naprawdę! Elastycznym krokiem i tylko dysząc głośno, przyskoczył do samego stołu, a kłaniając się nisko przed gospodarzem domu, z filuternym uśmiechem zaczął:

— Przepraszam wielmożnego pana, u nas i na to przypowiadka jest.

Król Salomon miał wielkie bogactwa — mówił dalej Gedali — a Joze, pastuch, był bardzo biedny. Raz ten Joze przyszedł w szabas do pałacu króla, obejrzał się, czy nikt nie widzi, i wziął ze stołu kawałek kugła. Ale jeden *przyjaciel* króla zobaczył *jego*, jak on kawałek kugła brał, i przyprowadził go do Salomona, a Salomon...

Tu Korejba, który patrząc na ruchliwą i pełną umizgów twarz Żyda, aż za boki brał się ze śmiechu, zawołał:

— Ho, ho! Gdalku, tę przypowieść to już sam komponujesz; ja to z twojej miny widzę... to u was napisane nie stoi... Ale w twojej głowie tak stoi: król Salomon Jozego za kawał kugła nie oćwiczył, ale dał mu jeszcze mąki na łoszyne, prawda, co?

— Prawda, wielmożny panie!

— No, to niech już sobie będę dziś królem Salomonem; niech moje przejdzie... dla starej znajomości z tobą. Nic ci złego za ten groch nie zrobię, a jesienną porą, jak będę miał okazją do Wołpy, pół beczki kartofli dla dzieci twoich przyszlę.

Żyd rzucił się do ręki mówiącego i całując ją z wielkiej radości, niewyraźnie belkotał:
— Żeby wielmożny pan był taki szczęśliwy, jak ja panu życzę! Żeby pan sobie drugi taki folwark kupił! Żeby pan, nu, sto jeszcze takich pięknych synów i córkę, jak te panicze i ta panienska wychował...

Korejбина na całą izbę wybuchnęła śmiechem z ostatniego życzenia Żyda.

— A bodaj cię, Żydzie! A bodaj cię! Oto plecie! Chory taki, a jeszcze język jak pytel!

Ale i ona, naśmiawszy się, poszła oglądać towary. Przy stole zostali tylko Korejba i Tomkiewicz i niebawem zaczęli rozmawiać o nowej oborze, którą Korejba jesieni tej budować zamierzał. Sprzecali się trochę, ponieważ Tomkiewicz doradzał sąsiadowi deskami pokrywać oborę, zaś stary rolnik obstawał za dachem ze słomy. Ale Bóg wie, czy ta obora stanie jeszcze w tym roku. Kosztować dużo będzie, a on przecie nie kapitalista. Ziemi ma piękny kawał, to prawda, ale gotówki niewiele, a urodzaj w tym roku nie najlepszy; przytem na przyszlą wiosnę Stefka do wojska umundurować trzeba... Westchnął głośno.

Przed kominem gwaro było i tłumnie. Aby lepiej widzieć towary, dołożono na komin drzewa; ogień buchał ogromny i olśniewający. Gorąco zrobiło się w izbie, jak w piekle, ale nikt na to nie zważał. Wszyscy tam byli przyzwyczajeni do wszystkiego. Dwaj młodzi parobcy, dwie dziewczki i stara gospodyni wsunęli się pocichu i z rodziną pana domu utworzyli jedną, zaciekawioną i rozweseloną grupę. Pośrodku, nad mnóstwem kolorowych lub połyskujących drobiazgów, siedział na ziemi Gedali, ożywiony, ruchliwy, zwracający się na wszystkie strony, rozwijający jaskrawe perkale i chustki, w dwóch palcach poruszający przed ogniem mosiężne napastrki, stalowe guziki, srebrne pierścionki. Jadwisia i Janek siedzieli także na ziemi, grzebiąc w towarach, wybierając to i owo, szczebiocząc; Korejбина i Stefan stali za kramarzem, rozpościerając i oglądając kamizelki męskie i kobiece chustki; parobcy i dziewczki wychylali przed ogień szerokie bary i swe tłuste czerwone twarze; stara gospodyni nawet, twarz swą skurczoną, bezzębną i szeroko roześmianą, zwieszała nad głowami Jadwisi i Janka, szepleniącym głosem wołając o dwa łokcie perkalu na fartuch. Gedali nie był już w tej chwili w najmniejszym stopniu mistykiem, ani poetą. Za chustki, których istotna cena była złotówka, żądał groszy pięćdziesiąt; za trzygroszowy napastrzek wołał o dziesiątkę, sznur lichych paciorek cenił tak, jakby to były bursztyny, albo korale.

Na te propozycje wybuchały cienkie albo grube śmiechy, powstawały sarkania i nieskończone targi. Stefan gniewał się i krzyżeć zaczynał, Korejбина przewlekłe jęczała: „Bój się Boga, Gdalu, bójże się Boga!” Ktoś błagalnym głosem prosił o odstąpienie dziesiątki na cenie pierścionka. Janek wołał; „Gdalku, masz sobie za piłkę 40-ci groszy, tyle, ile chciałeś!” Trezor nawet wylazł z kąta, wmieszał się pomiędzy ludzi i poszczekując, wyciągając się, wciąż odpędzany, wciąż ztłoczonemi łapy próbował po towarach chodzić. Aż nad całym tym gwarem wzbil się srebrny głosik Jadwisi.

— Panie Tomkiewicz, proszę co kupić u biednego Gdalka!

Złośliwe to było wezwanie, wróble na dachach świergotwały, że nie było w okolicy większego skąpca od ekonomy z Szumnej. Jednak, rozmiłowany w dziewczynie i jej posagu, konkurent zerwał się z ławy, czarny jego surdut rozepchnął siwe siermięgi parobków, a długa twarz i sterczące wąsy schyliły się nad leżącymi na ziemi towarami. Ręką wielką i szczerozłotym pierścieniem błyszczącą, grzebał wśród drobiazgów, szukając, wybierając... Chciał przypodobać się ulubionej, spełnić jej rozkaz i po długich wahaniach kupił sobie kościane spinki do rękawów, za całą złotówkę. Gdy na długich swych nogach odchodził ku stołowi, Jadwisia brata łokciem w bok trąciła.

— Dureń! — sarknęła zcicha.

— Paskudny człowiek — odmruknął Janek; — nie pozwolę zanic, abyś szła za niego!

*

Noc była ciemna i tylko w górze jaśniejąca niezliczonemi gwiazdami, kiedy Gedali z bramy folwarku znowu na pole wychodził. Wnet za bramą powitał go krzyk polnych świerszczów. W trawie przydrożnej i zielskach ugoru świerkały one wielkim chórem, ostro, przenikliwie i tak prędko, tak śpiesznie, jakby im pilno było wyśpiewać swoją

pieśń i przed północą umilknąć. Na drodze, pod rozłożystymi wierzbami, było zupełnie czarno: po szerokich polach mały wiatr szumiał cicho i monotonicznie. U stodoły, która tuż za bramą ciągnęła się niskim cieniem, stała wysmukła i nieruchoma topola. Żyd przyszedł do topoli, zdjął z pleców tłumok i przez chwilę szepcząc, rachował zarobek dzisiejszego wieczora. Sprzedał niemało, zarobił prawie pół rubla i był bardzo kontent. Tylko było mu zimno i jeść chciał. Nic to. Jutro ogrzeje się na słońcu i podje sobie u szynkarza w Szumnej. Przestał rachować i spojrzął na gwiazdy. Pod nieruchomą topolą, ramiona wzniosł w górę i mówił wieczorną modlitwę.

— Dziękuję Ci, Panie świata, żeś naród mój wybrał pomiędzy wszystkimi narody.

Kaszleł nim wstrząsnął; pod koszulą z wielkimi dziurami, po ciele wychudłem i ciemnym przebiegły dreszcze.

— Dziękuję Ci, Panie świata, że stworzyłeś mnie tak, jak sam chciałeś!

W kilka minut potem leżał nawznak, z głową na tłumoku, z rękami opadłymi na mokrą trawę. Zdaleka, z pola, dochodziło gwizdanie Stefana, który stróżował znowu nad kartoflami i grochem. W czarnej ciemności wierzbowej alei, zatętniały kopyta konia, na którym Tomkiewicz do domu odjeżdżał i wdali umilkły. Folwark był pogrążony w śnie. Daleko gdzieś grała trąbka pastusza. Świerszcze śpiewać przestały.

Gedali nie spał. Myślał może o niespodzianym dzisiejszym zarobku, który był winną jagodą na jego głogowym krzaku. A może, pomiędzy gwiazdzistym niebem a bezsennymi jego oczyma, gorączka suchotnika zawiesiła ludzi-aniołów, którzy szli w górę i zstępowali na dół, aby siać słodkość i światłość na ziemi, na której kiedyś nie będzie już ani biedy, ani kłótni, ani takich co płaczą i w sercu swem krzyczą, że im bardzo źle...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kramarz>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Kramarz. Obrazek, druk M. Lewińskiego, Warszawa 1899.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzicwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Kristina D.C. Hoepfner@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0624-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.